Cena 1 fr. | Nr. 8 | Dwutygodnik | JOURNAL HUMORISTIQUE | Bi-mensuel | Rok II | Prix 1 fr.





ŻABA

WESOŁA EMIGRANTKA

JEDYNE PISMO HUMORYSTYCZNE NA EMIGRACJI

J.B.Jr.

Emigracja kona, ledwie tylko dysze, a Pan Wojewoda, w swej szlacheckiej pysze
Wierzga i krzyczy, niczem grzesznik w smole, rozpętując wokoło burdy i swawole

UWAGI ŻABY.

Źle jest — bo w Polsce Sejm walczy z rządem
I z konstytucji wypada ram
Miano z kołtuńskim zerwać nierządem...
Stan rzeczy — temu — zadaje kłam.

Wciąż zawadjacka, harda postawa,
Na głos rozumu głucha, jak głaz
Więc sąsiad z lewa i sąsiad z prawa
Mrugają k'sobie: — zaczynać czas!!!

Na emigracji też same kłótnie,
Sączą do życia ohydny jad,
Zaczęły pszczołom przewodzić trutnie
Przy staropolskim komplecie wad.

Niebądźmy dłużej — jako pajace!
I jednolity stwarzajmy front.
Od fundamentów zacznijmy pracę,
Wszystkich nierobów przepędźmy won!

Twórzmy społeczność wielkiej wartości
A kiedy zbruździ nam jaki wieprz,
Śmiechem parskniemy na jego złości
I przepędzimy gdzie rośnie pieprz...

Duch czasu

W Europie daje się odczuwać kompletny głód ludzi. Sami sobie fabrykujemy bohaterów.

Wystarczy aby ktoś chciał coś zrobić, a już otrzymuje wieniec laurowy na głowę. Nic dziwnego, że w takich warunkach wystarczy ukazanie się zwykłego silnego człowieka — a bohater narodu gotowy! Jest komu oddawać cześć bałwochwalczą.

Ludzie lubią się korzyć, lubią się przed kimś płaszczyć. Poprostu ich natura wymaga zadawania kłamu, wyznawanej przez siebie demokracji.

Jak wiemy z depesz, rząd turecki zamierza skasować nazwę Konstantynopola i piękne miasto nazwać «*Kemali*». — Oczywiście, na cześć i chwałę dyktatora Mustafa Kemali paszy. Trudno! — Wolnoć Tomku w swoim domku.

Lecz, z drugiej strony, donoszą że faszyści nie mogąc zmienić starożytnej nazwy Rzymu na «*Mussolinia*» — zamierzają rozwalić część stolicy i pobudować «*Foro Mussolini*». Trudno! Wolnoć Tomku w swoim domku.

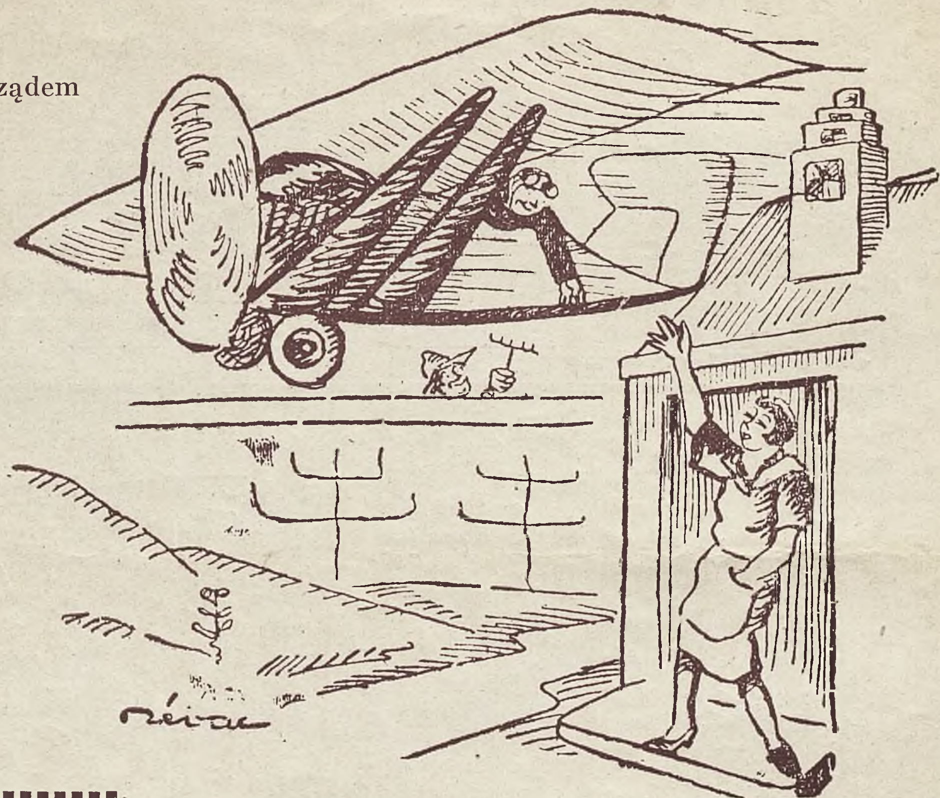
Ale czy Hiszpanie mogą być gorsi? Nigdy! Wkrótce wpłynie projekt zwolenników generała Primo de Rivery aby Madryt przemienić na «*De Riverę*» i zrobić to możliwie jaknajprędzej, a już pod żadnym pozorem nie dać się ubiedz reakcjonistom pruskim, zamierzającym przechrzcić Berlin na «*Hindenburg*».

Trudno! I tutaj Tomek zaśmieca swój domek! Ale co będzie u nas?

Już dziś chodzą słuchy, że Warszawę chcą również przechrzcić. Ale jak? «*Hallerowo*» nie ma zwolenników. «*Józefowo*» za prowincjonalnie, «*Legjonowo*» za stronniczo, a «*Komendantburg*» brzmi z niemiecka...

Nie wiadomo, jak się spór skończył — w każdym razie uważamy, że najpraktyczniejszą nazwą byłaby «*Dziadkówka*», albo wręcz «*DZIADÓWKA*» — coby odpowiadało istotnemu wyglądowi stolicy.

Za dwa lata.



— Genjusz! Obiad na stole!
— Rozlewaj zupę... a ja tymczasem raz jeszcze przelecę przez Atlantyk...

ZŁUDZENIE

Młode małżeństwo spodziewa się potomka. Oczywiście ona cierpi... Mąż chodzi struty, bo mu żal żony i t. d. Widząc to kochająca małżonka podchodzi do niego i głaszcząc go po głowie, pociesza:

— Nie martw się ukochany... Prawda, że ja trochę cierpię, ale to przechodzi każda matka... *To nie z twojej winy...*

Po tych słowach, mąż jeszcze bardziej posmutniał i gorzko się uśmiechnąwszy wyszeptał sam do siebie:

... a ja jednak myślałem...

W KONSULACIE

Tłok, ścisk. W ogólnym tłumie zwraca uwagę mocno podstarzała jejmość — przysadzista, wymalowana, wyfiokowana, a przedewszystkiem nie zamykająca buzi.

Kiedy kokietliwa osoba znalazła się przed obliczem zachmurzonego urzędnika, ten jej zadaje stereotypowe pytania:

— Imię?
— Desdemona.
— Nazwisko?
— Kanarek.
— Wiek?
— O, kobieta ma zawsze tyle lat na ile wygląda...
— Zrobione, — piszmy sześćdziesiąt...!

I KTÓRA MA RACJĘ?...

Nina, Ziuta, dwie warszawianki pragnące «robić karjerę» w Paryżu, siedzą przy stoliku w Cafe de la Paix.

— Wiesz Nina — powiada Ziuta — rozumiem że nie mogłaś siedzieć cicho kiedy ci Stefan nie chciał kupić tej pajetowej sukienki, ale znów odrazu *rzucić* ukochanego człowieka dla jednej sukni!?...

— Moja droga... a ile ja sukien zrzuciłam dla niego jednego!...

Szopka Staropolska we Francji

Na lewo widać sylwetkę Paryża — na prawo szyby północy.

Po kolei zjawiają się wszystkie znane na wychodźtwie postacie, które bądź deklamują, bądź śpiewają.

Podnosi się zasłona i na scenie widzimy postać we fraku.

Jam jest Ambasador i pan licznych włości,
A tutaj przybywam ze zachodnich kresów,
By wedle instrukcji i wedle możności,
Bronić nad Sekwaną Polski interesów.
Do późna w noc siedzę nad pracą niemiłą.
Śledzę ruchy mocarzy — dyplomacji kwiatki.
Bo się boję pomylić, jak to raz już było,
W czasie bratobójczej, zeszłorocznej jatki.
Byli kandydaci na moje tytuły,
Lecz reprezentacja, to bezdenne morze!
A skarb polski biedny — więc z własnej szkatuły
Trzeba dokładać... Kto dokładać może...
Prestiż ambasady wiele mnie kosztuje.
Poszła na to wioska — pójdzie także druga.
Dla Polski niczego nigdy nie żałuje,
Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — sługa.

Wchodzi postać w okularach z wielką szopą, potarganych, a zgoła niestrzyżonych, włosów i skarży się:

Kiedy się wielki człowiek czemś odznaczył
To ludzie zawsze powinność swą znali:
— Grosz od biedaków — tysiąc od bogaczy
I już bliźniemu wnet pomnik stawiali.
Tak jeszcze było prawie, że przed rokiem.
Dziś? — zamiast duszy, wielbią mięśnie byka...
Idę przez życie filozofa krokiem,
A nikt mi dotąd nie zrobił pomnika.
O, Emigracjo! Ty zła i niedobra!!!
Czy chcesz uśmiercić swojego słowika!?!
Jak wół orałem dla twojego dobra,
A jednak dotąd wciąż nie mam pomnika!!!
Skapcaniał widać już naród sarmacki.
Całkiem poczucie chwały w nim zanika.
Ma swe popiersie Chopin i Słowacki
— Tylko ja jeden nie mam wciąż pomnika...

Z za sceny odzywa się «Żaba»:

Nie płacz Hieronim! Bliską już jest pora,
Kiedy potomni ze skruszoną minką,
Taki wyryją napis w «Cafe Flora»:
«Tutaj pół życia spędził Hieronimko!»

Pewnym krokiem wchodzi dumna postać i zwraca się do publiczności:

Już skończone wasze troski — wasze spory, kłótnie, wiece,
Jam jest konsul z łaski boskiej, i wnet skończę wszelkie hece.
Już ja zrobię tu porządki! Miękką rączką, twardym batem.
Macie zresztą już początki, co zrobiłem z konsulatem?
Dawniej lokal był maleńki. Powodował ścisk, rozdęcie...
— Urzędnicy i panienki, złość swą mścili na klijencie.
Jakto było każdy wiedział: panna piszczy, woźny skrzeczy.
Aż Jarkowski mi powiedział: toć warjatów przestrzeń leczy.
Więc kupiłem zaraz nowy lokal, niby pałac pański,
Wobec tego, w górę głowy! Wiwat Konsul pan Poznański!!!

Wchodzi córa Ewy i nuci na melodję «Na Barykady!»

Na barykady ludu roboczy —
A ja w kawiarni poczekam was.
Niechaj wam rozum wściekłość zamroczy!
Niech żyje Granier i walka klas!
Składki w dłoń! — śmiej się koń
Brzęczy stal i forsa leci w dal...!
To «Sezete»! — Płać składkę! Te!! —
Składkę płać, albo cię niechce znać!
Albo cię nie chce znać!
Ja «Prawo Ludu» wam redaguje
Czytać psie prawo ma każdy z was!
Precz z Hieronimką! Ja go otruje!
Niech żyje Granier i walka klas!
Więc na zdar! Znaj mój czar,
Poznaj wdzięk! Pokochasz żebyś pękł!
Czar słodki mój, sen spłoszy twój!
Kochaj mnie, lub będzie z tobą źle,
Lub będzie z tobą źle!
Gdy z głodu, w strejki mrą robotnicy,
To ja kaczuszkę jem, jakbyś zgadł.
Niech się przelewa krew na ulicy,
Niech żyje Granier, marksowy kwiat!
Serce w kąt! Krasny front!
Krwawy los! Ofiaro właź na stos,
W karjerze mej, chcę zguby twej!
Wypruj flak — lub niech cię trzaśnie szlak!
Lub niech cię trzaśnie szlak!

Zjawia się Wojewoda, brodacz znakomity z «Wiarusem» w ręku. (Na nutę «Roty»):

Nie dam się wrogom wziąć na lep.
Nie dam «utrącić» z gracją,
Ja jestem «Wiarus», a nie kiep!
Rządzić chcę E-mi-gra-cją...
Konsul Gawroński zginąć ma,
I szczeznąć ambasada.
Polskości bronię tylko ja,
A reszta — wszystko zdrada.
Nie chcę zaszczytów — hołdu mas...
I obcą mi pokusa!
O jedno tylko błagam was:
Czytajcie wciąż «Wiarusa».

Wchodzi ktoś biedny i bardzo wymizerowany. Drżącym głosem zaczyna:

Jestem emigrant, istota bezdomna,
A imię moje — to rzesza ogromna.
Rzesza bezbronna, krzywdzonych bezkarnie,
Rzesza biedaków, których śmierć przygarnie,
Rzesza wychodźców, co z biedą się zrosła,
To łódź bez żagli, bez steru i wiosła...
Wiatr sypie piaskiem w oczy nam bez przerwy.
W strzępy już poszły nasze zdarte nerwy,
Obca nam fala zalewa dziś serce,
Obcy nas człowiek ma w swej poniewierce.
Obcego życia przewija się wstęga,
Ino nie obca jest nam tu mordęga!
Nie obca nam jest za Polską tęsknota,
Bo los powrotu zamknął ciężkie wrota.
O, Boże, Boże za jakie to winy!!?
O, Boże, Boże, wróć Ojczyźnie syny,
Wróć nas do Polski, wróć ze świata krańców.
Zlituj się Chryste nad dolą wygnańców!

Uprzejmy, miły, w różowej koszuli, wjeżdża małym samochodem. Na melodję «Esik w Ostendzie»)

«Gazety Polskiej» jam redaktorem
I tolerancji prawdziwy kwiat.
Zapatrywania moje są wzorem,
Ba każdy klijent jest dla mnie brat.

Antysemityzm! Precz niech się schowa!!!
Gazeta moja — ognisty krzak!
Niech pochwalony będzie Jehowa!
Na niebie widzę już zgody znak.

Lecz mi się praca wcale nie składa.
Nie wiem co pisać? — i ztem jest kram,
Bo tego nie chcę — to nie wypada,
Więc... ogłoszenia chyba znów dam.

Bo ogłoszenia rzecz najważniejsza,
To też w gazecie takowych huk.
Wymaga tego chwila dzisiejsza,
Wymaga babcia, mamcia i wnuk.

Piszę kronikę także, ze świata:
Kto dziś przyjechał, wyjechał — lub
Kto się z kim bije, kto się z kim brata,
Kto się urodził, zmarł lub wziął ślub.

Wszystko wyczytasz w mojej gazecie:
Kto kupi Eiffla? Kto sprzeda grat?
Jest to najlepsze pismo na świecie,
Więc się ogłasza w nim cały świat!

Solidna osoba, w pięknej sutannie przedstawia się:

Jam z Misji Katolickiej Rektor, wszystkim znany,
Jam pasterz nabożny, a wy to — barany...!
Jam jest pasterz, którego tragedja ogarnia,
Boć w chlew się zamieniła ta moja owczarnia...
O tempora, o mores! o ludzie wyrodni
— Czyliż nie widzicie, że idziem ku zbrodni...?
Jeden gałgan i drugi u szynkarza siedzi,
Miast grzecznie w ogonku czekać do spowiedzi!
A ile jeszcze zrobi taki arogancji...?
— Powiem wam: nie czyta «Polaka we Francji».
Z nabożnej emigracji zrobiła się jędza,
Nawet baby nie chcą cmokać w rękę księdza!!!
To też na me owieczki potrzeba mi bata,
Bo inaczej niedługo przyjdzie koniec świata.
A najpierwej pochłonie piekieł smolna nora
Tego — co nie słuchał, mnie, księdza Rektora!

Wchodzi redaktor Budzyński i zaczyna na nutę «Jakem maszerował...»

Jakem maszerował, muzyka grała muzyka grała..
A moja «Polonja», a moja «Polonja ledwo człapała,
Ledwo człapała, głos miała żawy, głos miała żawy..
I tak mi powiada i tak mi powiada: wal do Warszawy!..
Tra-ta-ta! I tak mi powiada i tak mi powiada, wal do Warszawy!
A tam legjonowy mundurek kładę, mundurek kładę,
I cieniutko śpiwam i cieniutko śpiwam, pierwszą brygadę.
Usłyszał to «Dziadek» i rzekł mi: wiecie?.. i rzekł mi wiecie?..
Jak ja jestem «Dziadek» — tako wy na dziady chyba zejdziecie?..
Tra-ta-ta! Jak ja jestem «Dziadek» — tako wy na dziady chyba zejdziecie?..
Nie dał mi subsydjum i powiedział: szlus! i powiedział: szlus!
Jestem bez pomocy, jestem bez pomocy, jak bez kółek wóz!
A takie przyjęcie to zapał studzi, to zapał studzi.
Najwyraźniej «Dziadek» najwyraźniej «Dziadek», ma *gdzieś* swych ludzi..
Tra-ta-ta! Najwyraźniej «Dziadek», najwyraźniej «Dziadek» ma *gdzieś* swych ludzi..

Wchodzi młody człowiek o skroniach przedwcześnie przyprószonych szronem.

(Na nutę «A muzyczka tirli! tirli!»)

Ja to jestem redaktorem tej swawolnej «Żaby»,
Zawsze zasmucony, cichutki i słaby.
Złośliwości nie napiszę — chociaż wiele słyszę,
Chociaż wiele słyszę, że aż fe!
Tylko sobie pisze, pisze — fajnie to sie wie,
Bo przy mej «Żabie» goście bawią sie!!!
Wszystko jedno czy to piątek,
Czy to świątek jest, zawsze muszę pisać fest a fest!
Od miesiąca gaz zamknięty — elektryczność także!
Na kredyt atrament i papier — a jakże...
Ale głowy tem nie suszę — bo dowcipy muszę...
Bo dowcipy muszę pisać wam!
I tak w kółko pisze, pisze — fajnie to się wie,
Bo przy «kawałach» goście bawią się...
Wszystko jedno, czy mi smutno,
Cy wesoło jest, zawsze muszę pisać fest a fest!!!

Z kolei wychodzi «Druh z Genewy» — ogromnie jest dumny:

Za górami, za lasami, nie w chatynce z góralami,
Lecz w Genewie, nad Lemanem, zasiadałem, co jest znanem
Co jest znanem doskonale, bo po dziś dzień chodzę w chwale,
Jako, że w Narodów Lidze, ciągle jeszcze siebie... widzę.
Sukces mój był znakomity. Nie chcę być przed wami skryty,
I się przyznam moi mili, że mnie wszyscy nachodzili:
Pan Briand razem z Chamberlein'em, Sokal (było to zwyczajnem).
Z Hondurasu, Peru, Chili, aż się o mnie prawie bili
Nawet prosił poseł włoski: radź nam druhu Kalinowski!
Była sprawa to nie letka, z czego dowód, żem nie... betka,
Żem persona bywał grata, tam — gdzie drżały losy świata.
I (co nie jest szczęściem małem), wżdy na *krzesłach zasiadałem*
Razem z posły (cudne chwile!) O mej chwale piszę w «Sile».

Na zakończenie ukazuje się autor fatalnej książki, która narobiła tyle hałasu na wychodźtwie:

Wielu autorów wypociny płodzi.
Wielu nad bzdurą się poci...
By wydać książkę — nie jeden się głodzi,
Albo zabiega u cioci.
Ja jestem inny, w tej autorów lidze.
Lecz za złych duchów namową,
Wydałem książkę, której sam się wstydzę...
...I to za forsę rządową...
A książka moja nie jest jak biblija
Jako, że w prawdę jest kusa,
Polskie szkolnictwo w niej się zabija,
A denuncjuje «Wiarusa».
Książkęm popełnił, bo mi nikt nie bronił.
A wiecie: koncept mam koński.
Ale dlaczego to przegawronił,
Zwierzchnik mój, konsul Gawroński?
By sądzić winę przyszły męże stanu
I mając winy dowody
Rzekli: ta książka cała jest do chrzanu,
A sam jej autor... przymłody...

Mówią, że...

Paryskie Tow. Niekulturalno-Oświatowe, znane jako «nieustające pogotowie» (do brania wysokich pensji), zapadło na ciężką śpiączkę. Najpierw usnął prezes Jarkowski, za nim chrapnął, pozostający od dłuższego czasu w półśnie, pan Przegaliński, a potem reszta personelu.

Czy się jeszcze kiedy przebudzą — niewiadomo... Amen!

***

Pani Franciszka Granier zamierza wydać swe pamiętniki p. t. «BABA JAGA» (z portretem autorki).

***

Także Wojewoda Brejski już ukończył druk sensacyjnego romansu, któremu dano tytuł:

«WOJEWODA CONTRA AMBASADOR»
czyli: *Wiarusowe błazeństwa.*

***

Aczkolwiek nikt nie kwestjonuje użyteczności «Polskiego Uniwersytetu Robotniczego», to jednak sądzimy, że po ostatniej kompromitacji z książką p. Rozwadowskiego, należy spuścić z tonu i zmienić nazwę na: «*Polska Freblówka Robotnicza*».

***

Wychodźtwo polskie postanowiło, aby za książkę, która rzeczywiście solidnie zaszkodzi wszystkim Polakom we Francji — zrewanżować się jej autorowi i już dziś zakupić mały nagrobek z następującym napisem:

Tutaj spoczywa pan Rozwadowski,
Autor omylny i nie z łaski boskiej.
Nie był za życia, ni asem, ni zerem
Pisywał książki WSPÓLNIE Z ZECEREM!

FATALNE NIEPOROZUMIENIE

Pani baronowa jest wyjątkowo piękna i ponętna, a oprócz tego słynie z ekscentryczności (o czem wie służba). Dzisiaj przypada koniec miesiąca, wobec czego pani woła lokaja:

— Janie! proszę przyjść do mnie po obiedzie, to otrzymacie swoją należność za ubiegły kwartał...

— O pani baronowo! Błagam o przebaczenie, lecz ja jestem człowiek żonaty i ojciec dzieciom, wobec czego naprawdę nie jestem w stanie brać pensji w... naturze...

SENTENCJA «ŻABY»

Życie to jest, jak ten befsztyk w podłej restauracji — co to go ani ugryść, ani wyrzucić nie można..

ONA SIĘ ŁUDZI

Zazwyczaj pani Zofja nie prawi morałów swoim służącym, lecz obecna służąca jest przesadna: co cztery dni zmienia kochanków. Pani więc zdecydowała się na zwrócenie jej uwagi:

— Ludwiko, nie powinnaś mieć tylu kochanków.

— Proszę pani, płacze służąca, — to nie moja wina: za każdym razem myślę, że to już będzie ostatni!

DOBRY INTERES

Młody Lewi zjawia się u znanego bankiera Goldenkopfa. Oczywiście lokaj stara się wyprawić go, lecz po wielu naleganiach dopuszcza gościa przed oblicze bogacza.

— Chcę panu zaproponować bardzo pewny i korzystny interes, — zaczyna Lewi, — lecz przedtem pozwolę sobie na niedyskretne pytanie: ile pan daje posagu swojej córce?

Po chwili wahania bankier odpowiada:

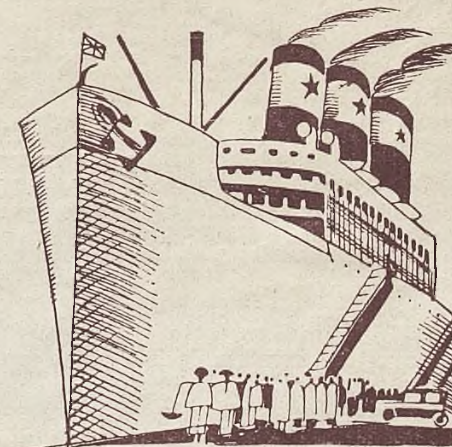
— Cztery miljony.

— No to ja ją wezmę za dwa.

MIĘDZY MODELKAMI

— A twoja matka wie, że pozujesz?

— Ale skąd! Dopieroby mi nagadała! Powiedziałam jej, że mam randkę z jednym starym dziadem...



Patrz czytelniku— ten okręt jest zupełnie jak polski emigrant. Całe lata się tuła od jednego kraju do drugiego, wszystkim się wysługuje, a sam nic z tego nie ma...

LIST JAGUSI

z Paryża do rodziców w Kałdunkowie

Rodzice Najmilejsze!

Wybaczta mi ze pisze taki krótki list, ale u nas je takie piekło, że coś okropnego? Niechce być plotkująca, ale takiego bałaganu jak na ty emigracji, to jeszcze nie beło pod słońcem, a takich czarnych typów jakie tu som, to i u murzynów nima!!! Ale ja sobie powiedziałam: nie daj sie Bombel! I wzięłam sie do rzeczy. Bô do tyj Francji to ponajeżdżało takich łapichrustów, co to sie psubratom robić nie chce i tylko na cudze forse lecom. Gdzie sie ruszyć to nowe szarlatańskie doktory, łajdackie pomagiery sądowe, tłomacze nie umiejące po francusku i inne wrogi pracującego narodu. Myślę ze chyba jakiś upust złodziejski tu sie otworzył, czy co? Nie mówie, ze by nie było i łuczciwych a zacnych ludzików .. ale te szarlatany wszystko psujom. Jest ci w Paryżu taki pan Smolski co pieknie tłomaczy i je miła osoba, ale coż! Pedział mi ze pewnikiem znowu zacznie malować tobrazy, bo sie z grandą zadawać nie chce. I tak zrobiom wszystkie łuczciwe ludzie, a Emigracja zostanie na łasce łapserdaków. Dla tego ja sie wziłam fest do rzeczy i uroczyście zapowiedziałam, że BĘDE DEMASKOWAŁA wszystkich obierzysasów i innych spryciarzów. Tu sie nie bedzie wincy ludziów okradało na rózne porady i inne 100 przedmiotów za 10 franków. Tu sie nie bedzie okradało na Kanade i inną Hamerykę, tu sie nie bedzie nabijało narodu w butle! A także panie tego, nie bedzie sie bzdurów pisało za subsydjowe pieniondze. Panie autor od «Emigracji»! Jak Pan czułeś zyciowom konieczność.. popełnienia przestempstwa przeciwko słowu drukowanymu — to trza ci beło napisać wierszyki i poprosić o wydanie cioci. A nie sie wypentywać i bróździć narodowi. Nie wolno byle komu narażać nas wszystkich na smutne nastempstwa swojego niedoważonego «widzimisie!» — Zrozumiano — panie doktór!

O rany! — czuje, ze nie wytrzymam i jak jestem Jagusia Bombel, tak albo me szlak trafi, albo zrobie skandal! Instytucjów i Prezesów to jest tu do djabła i troszke, a do roboty — zadnego! Chyba, ze do kłótniów — wtedy som wszystkie! Ale mi sie widzi, ze to daleko nie zajedzie, bo wszystko jest podminowane, a sie robi taki goronc, ze bomba penknie. A jak wybuchnie, to najwyzej w góre poleci pan Brejski, a po nim to chyba doktór Jarkowski, co to jest prezes od «Wzorowych Nygusów»! W każdem razie niedługo rózne «dostojne pierniki» emigracyjne zlecom ze swoich urzędów, jako te śliwki z drzewa, kiedy wiatr mocno potrzonśnie. Ale tutaj nie potrzonśnie wiatr ino ja Jagusia Bombel z Kałdunkowa, oraz «świenty gniew» narodu emigracyjnego, czego i Wam kochani moje rzycze.

Z wojenno-proletarjackim pozdrowieniem

Jagusia de BOMBEL.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

STARY MĄŻ

(2)

(Wybacz Mistrzu, żeśmy pozwolili sobie przedrukować perły twego humoru. ale to dla tych mas wychodźtwa, których łzy nigdy nie wysychają. — *Red*).

— A to bydlę! Tylko mężczyzna zdobędzie się na coś podobnego, ażeby szpiegować kobietę.

— Co teraz będzie?

— Mój kochany, bądź łaskaw i mnie to pozostaw.

Poeta patrzył zdumiony, jak wszystkie drobne pieniądze z portmonetki wysypała do jedwabnej torebki.

— Cò to takiego?

— Do widzenia, do widzenia! Nie wychodź, zdaje mi się, że za chwilę tu wrócę.

Wybiegła; poeta widział przez okno, jak najspokojniej szła ulicą, potem weszła do kamienicy naprzeciwko, wyszła po dłuższej chwili i wchodziła właśnie w bramę, w której stał blady i nieskończenie zdumiony stary mąż.

Prawie, że się zatoczyła ze zdumienia.

— Ty? Cóż ty tu robisz?

— Ja, moja kochana? Nic, tak sobie... aleśmy się spotkali. No dobrze, ale co ty tu robisz?

Żona spoważniała.

— Nie myśl, mój drogi, że nie potrafię uczynić niczego dla drugich. Popatrz!

Pokazała torebkę, w której był jakiś banknot i mnóstwo drobnych pieniędzy.

— No, domyśl-że się!

— Słowo daję, że nie mogę.

— Wielkanoc, głuptasku, więc chodzę po kweście.

— Aaa!

— Czegoś taki uradowany?

— Nic, nic... Cieszę się, że się tem zajmujesz. Bardzo się cieszę.

— Ty się ciesz, ale ja nie mam czasu, muszę obejść całą ulicę.

— Ale, słuchaj no, ty tak sama chodzisz?

— A z kim mam chodzić, z mamką? Przecież mnie nikt nie ukradnie. A zresztą dzwonię tylko do pań i małżeństw. Do widzenia ci, mój drogi.

— Prędko wrócisz?

— Za jakie dwie godziny.

— Może ci przysłać dorożkę?

— Och, dziękuję ci; nie doprawdy, ty jesteś za dobry. Jeżeli już tak chcesz koniecznie, to za jakie dwie godziny poślij mi dorożkę, niech czeka tu na rogu ulicy. Dobrze?

— Ależ naturalnie!

— Do widzenia!

— Do widzenia, najdroższa, do widzenia!

I poszedł tak uradowany jak Jowisz, kiedy połamał Hefajstowi obie nogi. Spadł mu z serca kamień wielkości góry. Szedł raźno, pogwizdując i dziękując Bogu, że mu dał taką żonę która jest i dla niego i dla innych, to znaczy i dla innych zbiera, aby wszystkim było dobrze.

A młoda żona wróciła do jaskini swojego lwa ażeby się dać pożreć bez ubrania.

— Widzisz, że jestem pomysłowa, — mówiła uradowana.

— W istocie!

— Jak to dobrze być miłosierną po chrześcijańsku, czy prawda? Cnota chrześcijańska to jest piękna rzecz.

— Zawsze to mówiłem.

— Och, aż mi gorąco...

— To może?...

— Co może?

— To się może rozbierzesz? Cnota powinna być naga...

A stary mąż poszedł po dorożkę, która się bardzo przydała jego miłej żonie, albowiem była mocno znużona.

Długi czas opowiadał wszystkim stary mąż o chrześcijańskich pomysłach ukochanej żony; o tak! dobry Bóg zawsze wyratuje w złej doli kobietę jeśli się biedaczka na niego powoła.

Lecz młoda żona znalazła wkrótce nową metodę, bez współudziału Pana Boga, którego imienia nie mogła nadużywać zbyt często.

Stało się oto, że stary mąż wrócił ze spaceru, taki rzeźki, jak nigdy; pieścił wsobie nadzieję że — kto wie! — może nawet zaimponuje żonie, może ją zmusi do uznania w nim cyklopowej siły i męskiej przedsiębiorczości, o której dotąd miała bardzo nieznaczne wyobrażenie. Stary mąż przeskakiwał tedy schody, przed drzwiami mieszkania wyprostował ramiona, odchrząknął znacząco a z dumą, i wszedł.

— Co to jest? — mruknął sam do siebie.

W przedpokoju wisiała oficerska szabla niewyszczerbiona i niepokrwawiona, ale groźna.

— Co to jest? — powtórzył sam do siebie stary mąż.

Szabla wisiała sobie z godnością, nie zwracając na niego uwagi.

A w nim się zbudził szatan. Był w tej chwili straszny. Całą energję przeznaczoną dla żony, zebrał w sobie, przygotowując się do skoku.

— To straszne, — zaczął szeptać, — to potworne...

Poprawił ubranie, wyprostował się i szedł prosto ku drzwiom, wiodącym do buduaru żony.

Zawahał się. Wściekłość uczyniła lisa z wygolonego lwa, z farbowaną grzywą.

Poszedł do siebie i zadzwonił. Wszedł lokaj. Stary mąż udawał, że nie jest wzruszony.

— Jean!

— Słucham jaśnie pana.

— Umiesz kupić rewolwer?

— Umiem.

— Masz tu pieniądze, bierz dorożkę, jedź na złamanie karku i kup rewolwer.

Jean spojrzał przerażony.

— Rewolwer? U jaśnie pani nikogo niema, jak Boga kocham, że niema.

— Wynoś się! — krzyczał stary mąż stłumionym głosem.

Poczem podszedł ku drzwiom żony, skradając się na palcach i nasłuchiwał.

Musiał usłyszeć coś strasznego, coś, co jest jak uderzenie piorunu, albowiem nagle, bez racjonalnego powodu, zaczął tłuc dłońmi o drzwi.

— Otworzyć! Natychmiast otworzyć, bo strzelę!...

Nagła cisza.

Dzieje się coś strasznego.

— Otworzyć! Zabiję! Otworzyć!

Jeszcze straszniejsza cisza.

Stary mąż zaczął biegać po pokoju, potem chwycił kryształowy kandelabr z postumentu i cisnął nim o lustro. Efekt był, trzeba przyznać, nadzwyczajny.

Znów podbiegł do drzwi i zaczął je kopać z całą siłą. Drzwi patrzyły jednakże z politowaniem na tę parę lichych imitacji nóg starego męża i uśmiechały się do niego drwiąco.

Już go chwytała czarna rozpacz, już czarna farba z włosów zaczęła ściekać mu z potem po twarzy, już mu zaczynało braknąć sił, — kiedy się drzwi otworzyły.

We drzwiach stanęła młoda żona, wybladła, wzruszona, cicha i smętna.

Złożyła ręce w krzyż na piersiach, skłoniła głowę jak kwiat, trochę coprawda zmięty i oparła się o framugę drzwi i tak stała jak sam smutek i jak beznadziejność, jak ból i cierpienie. Z przecudnych oczu wybiegły dwie łzy, dwie cudne, słone łzy, które służą do nadania smaku mdłości życia. Podobna była w tej chwili do uwiedzionej dziewicy, która ma jedyną sukienkę i jedyną cnotę. Laura Petrarki przed urodzeniem trzynaściorga dzieci, Beatriks, zwiedzająca raj nietyle z Dantem, ile z oficerem od dragonów. (*Ciąg dalszy nastąpi*).

5, rue des Gobelins, Paris (13e) Tel. Gob. 41-61 PRENUMERATA: za 3 mies. 6 fr.; za 6 m. 12 fr.

MIĘKIE SERCE

Pan Iksiński otrzymał rachunek od krawca na sumę 1.200 fr. i udaje się do niego w tej sprawie. Towarzyszy mu jego przyjaciel.

Oczywiście rozmowa z krawcem bardzo się przeciąga. O zapłaceniu gotówką mowy nie ma, bo pan Iksiński jest goły. Chodzi o samą sumę, która się klijentowi wydaje zbyt dużą. Po dwugodzinnej kłótni stanęło na tem, że krawiec opuszcza 200 franków, a pan Iksiński obiecuje wpłacić całą sumę pojutrze.

Kiedy obaj panowie wyszli ze sklepu, zdumiony przyjaciel pyta:

— Po coś ty się tyle czasu kłócił o te 200 franków? Czyżbyś istotnie chciał go pojutrze zapłacić???!

— O płaceniu mowy nie ma! Ale nie chciałem żeby biedny człowiek zadużo stracił...

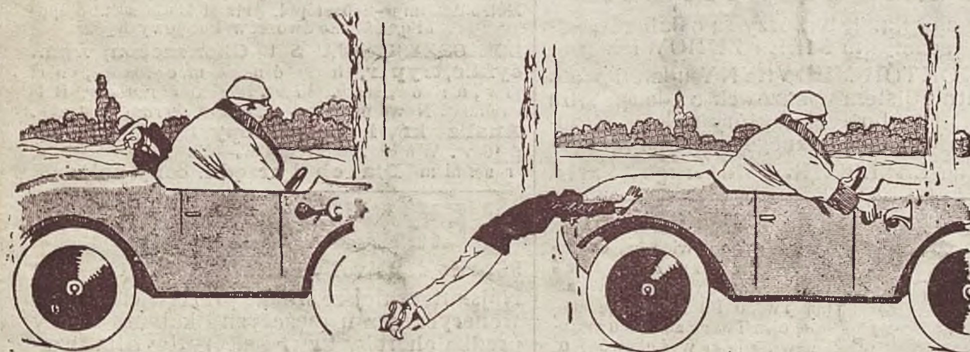
ZŁOŚLIWA

— Mówię zawsze tylko to co myślę.

— Ach, to dlatego był pan przez cały wieczór taki milczący?...

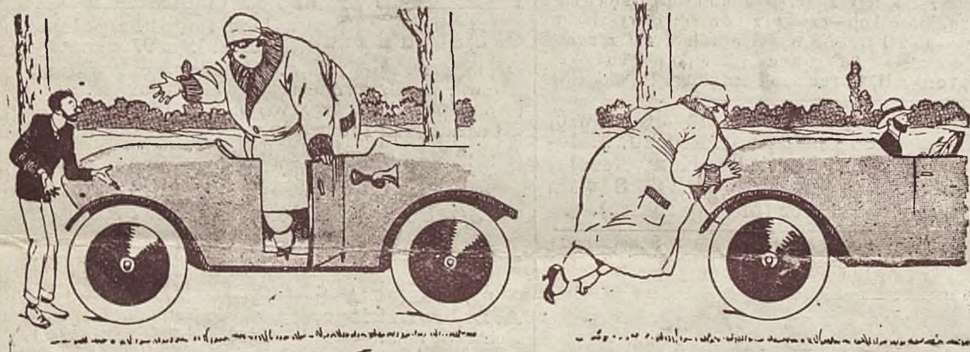


Jaki skutek wywołało na koncercie... kichnięcie.



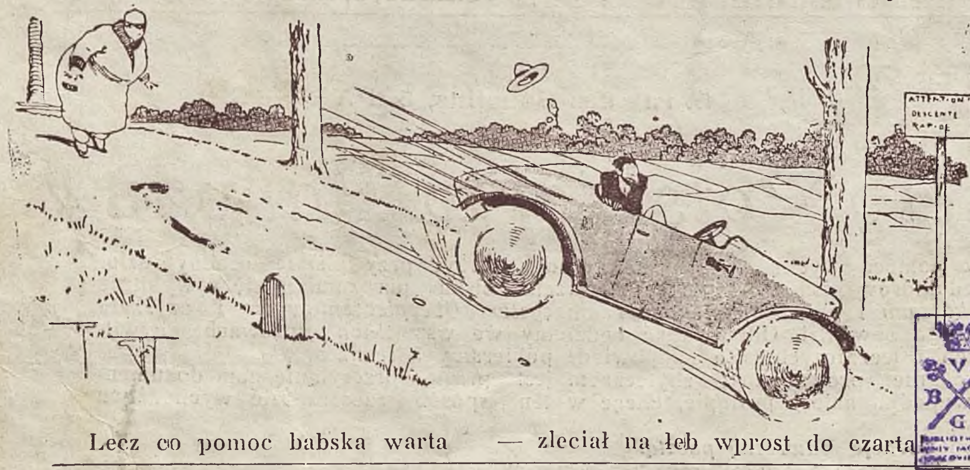
Na majówkę jadą właśnie,
Kiedy nagle motor trzaśnie.

Nie płacz mężu i nie wzdychaj,
tylko zejdź i wóz popychaj!



A gdy już mu było słabo,
rzekł jej : — wyłaź z auta babo!

Ona siły swe natęża,
całkiem ostro wiezie męża.



Lecz co pomoc babska warta — zleciał na łeb wprost do czarta.

Wypadek przy pracy

Wiadomo — nosi dzban wodę, póki mu się ucho nie urwie. Zdarzyło się, że urocza panna Mimi z «Dancing Palast» musiała się udać do lekarza od chorób «skórnych i brzydkich». Kiedy doktór obejrzał pacjentkę, ta mocno skonfundowana, a jeszcze więcej przerażona pyta ze strachem:

— Proszę mi powiedzieć otwarcie, czy to jest coś niebezpiecznego?

— Głupstwo, łaskawa pani — odpowiada lekarz — zwykły «accident de travail».

Nasze dzieci

Trzyletnia Lili okazała się tak nieposłuszną, że mamusia, zniecierpliwiona, woła:

— Któż mi dał taką nieznośną córeczkę?

— Chyba tatuś — odpowiada malutka.

Wyjątek z pamiętnika

Zginęła Hellada, zginęła Troja.
Zginęła także portmonetka moja...
Wybacz więc Władziu, tom co nababrał,
Przyznaj się stary, żeś to ty ją zabrał

Zawsze kochający cię przyjaciel.

Małe nieporozumienie

Podobno Aleksander Dumas nie umiał ani słowa po niemiecku.

Będąc raz w Szwarcwaldzie wstąpił do oberży na śniadanie. Zasmakowały mu grzyby, a ponieważ nie umiał wyrazić swego życzenia, wpadł na dowcipny pomysł i narysował grzyb na kartce papieru, którą podał oberżyście. Ten skinął głową na znak, że zrozumiał, odszedł do przedpokoju, a po chwili zjawił się z powrotem niosąc w ręku... parasol.

Straszna choroba

— Wystaw sobie, jak ciężko zachorował Psipsiński!

— No, co mu się takiego przytrafiło?

— Coś okropnego: ma taką chorobę, że jak się wyśpi, to mu się chce jeść, a jak się naje, to mu się chce spać...

Le Gérant : Gebe Alphonse Redaktor : Tadeusz Chrzanowski Nagłówek rys. J. B. Tłomakowski

Imprimerie de Navarre, 5, rue de Gobelins, Paris.